

## Bartłomiej Kozłowski

### **A propos walki ministra Sikorskiego z internetowym chamstwem**

W kilku tekstach na temat problemu „hate speech a wolność słowa” jakie „popełniłem” i umieściłem na swojej stronie internetowej (<http://bartlomiejkozowski.pl/main.htm>) poruszałem kwestie tego rodzaju, jak to, czy „mowa nienawiści” pod adresem mniejszości narodowościowych, etnicznych, rasowych, religijnych i innych (np. seksualnych) powinna być tępiona prawnie w oparciu o argument, że może się ona przyczyniać do dyskryminacji i/lub przemocy przeciwko osobom należącym do takich mniejszości, bądź dlatego, że może ona wyrządzać członkom grup, których się tyczy, krzywdę moralną i psychiczną. Nie zajmowałem się w nich nigdzie problemem, czy „mowa” taka powinna być zwalczana przy użyciu środków prawnego przymusu z tego powodu, że przynosi ona wstyd krajowi (i ogółowi jego mieszkańców), w którym ma miejsce. Dlaczego do zagadnienia tego nigdy jak dotąd się nie odniosłem? Może dlatego, że w literaturze (głównie, choć nie wyłącznie, amerykańska) na temat wolności słowa i jej granic, która w taki czy inny sposób wpływała na moje myślenie zagadnieniem tym się po prostu nie zajmowała, może też z tego powodu, że ochrona dobrego imienia kraju czy narodu nie jest – w przeciwieństwie do ochrony dobrego imienia konkretnych, ludzkich jednostek – wymieniana w konstytucji i międzynarodowych aktach prawnych typu Europejskiej Konwencji Praw Człowieka czy Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych jako przesłanka dopuszczalnego prawnie ograniczenia wolności słowa. Być może też, że nie odnosiłem się do tego problemu z tego po prostu powodu, iż wyczuwałem, że zajmowanie się wszelkimi spotykanymi czasem uzasadnieniami zakazów „hate speech” prowadziłoby do nadmiernego wydłużania moich (i tak niekiedy całkiem długich) tekstów. Jestem np. w stanie wyobrazić sobie kogoś, dla kogo wystarczającym uzasadnieniem zakazów wypowiedzi szczujących przeciwko takim czy innym grupom narodowościowym, rasowym, religijnym itd. i znieważających takie grupy może być to, że wypowiedzi takie są czymś leżącym poza jakimiś granicami przyzwoitości, które prawo powinno wyznaczać ze względu na nią samą, a jednocześnie odnoszącego się zupełnie obojętnie (bądź traktującego to jako kwestię drugorzędną) do problemów tego rodzaju, jak to, czy „mowa nienawiści” prowadzi w jakiś sposób do przemocy lub szkód o charakterze emocjonalnym, a także do tego, czy poprzez cenzurowanie bądź represje wobec autorów i/lub szerzycieli takiej „mowy” można szkodom takim skutecznie zapobiegać. Co więcej, przypuszczam, że spora część ludzi może być zwolennikami zakazów „hate speech” na takiej właśnie – bardziej instynktownej, niż refleksyjnej – zasadzie (rzecz jasna, ci sami – bądź inni – ludzie mogą na podobnej zasadzie być za zakazem znieważania symboli narodowych, wyszydzania obiektów kultu religijnego, publicznego używania wulgaryzmów, pornografii, czy parad homoseksualistów). Czy nie warto zatem byłoby odnieść się do zasugerowanego powyżej uzasadnienia zakazu „hate speech”? Może... Ale nie znaczy to, że odnosić się do niego koniecznie trzeba: przeciwko „mowie nienawiści” wytaczane bywają „armaty” takiego kalibru, że argument iż „mowa” taka sama w sobie jest czymś nieprzyzwoitym i niemoralnym wydaje się bronią na tyle lekką, że „strzelanie” do tych,

którzy się nią posługują w rozsądny sposób można uznać za stratę energii i niepotrzebne marnowanie czasu (zarówno autora, jak i czytających jego teksty).

Podobnie, argument, że „nienawistna mowa” przeciwko np. Żydom szkodzi międzynarodowej reputacji Polski wydaje mi się znacznie słabszą i mniej wartą polemiki przesłanką prawnego zakazu takiej mowy, niż argument, iż „mowa” taka może prowadzić do antysemitycznych pogromów czy wręcz powtórki z Holocaustu. Lecz mimo wszystko uważam, że argumentem takim warto się zająć – z tego choćby powodu, że został on uznany za jeśli nie dostateczną, to co najmniej istotną przesłankę prawnego tępienia „hate speech” przez nie byle kogo, bo jednego z najważniejszych polskich polityków i urzędników państwowych, jakim jest minister spraw zagranicznych. Poza tym, trudno byłoby zaprzeczyć temu, że reputacja kraju bądź narodu (tj. ogółu mieszkańców danego kraju) jeśli nawet nie jest wymieniana wśród przesłanek konstytucyjnie czy w zgodności z prawem międzynarodowym dopuszczalnego ograniczenia wolności słowa, to mimo wszystko jest wartością, o której ochronę warto dbać. Warto dbać o nią zwłaszcza w przypadku takiego raczej małego, dla wielu ludzi na świecie dość egzotycznego i będącego „na dorobku” kraju, jakim jest Polska. Prawda jest taka, że pomyślny byt Polski i jej mieszkańców zależy w pewnej mierze od tego, co na świecie o naszym kraju się myśli, a to zaś z kolei zależy od tego, co się o nim mówi i pisze.

Antysemityczna „mowa nienawiści” na formach internetowych (i gdziekolwiek indziej) chluby Polsce z pewnością nie przynosi. Ale czy ciągnięcie po sądach i karanie autorów takiej „mowy”, a także tych, którzy – założmy, że faktycznie wbrew obowiązującemu prawu – mowę taką tolerują – jest dobrym sposobem ochrony reputacji Polski w świecie (bądź sposobem na poprawę tej reputacji)?

Aby móc to ocenić, odpowiedzmy sobie na pewne pytania. Po pierwsze, czy sam fakt, że w danym kraju zdarza się „mowa nienawiści” przeciwko np. Żydom przynosi temu krajowi jakąś szczególną ujmę? Rozsądną, jak mi się wydaje, odpowiedzią na to pytanie jest odpowiedź „nie” – odpowiedź taka jest rozsądna choćby dlatego, że „hate speech” zdarza się na świecie praktycznie wszędzie.

Czy jakąś hańbą dla danego kraju musi być to, że „mowa nienawiści” jest w nim prawnie tolerowana lub bezkarna po prostu w praktyce? Też niekoniecznie. W Stanach Zjednoczonych nie wytacza się ludziom procesów o „nawoływanie do nienawiści” na tle np. różnic rasowych bądź o znieważanie grupy ludności z powodu przynależności rasowej – i to akurat (przynajmniej moim zdaniem) nie tylko że nie jest czymś, czego Amerykanie powinni się wstydić, ale przeciwnie: jest to jeden z powodów, dla których mogą być oni dumni z istniejącego w ich kraju zakresu wolności słowa. I chciałbym też zauważyć, że mimo prawnej tolerancji wobec „hate speech” Ameryka nie jest na świecie postrzegana jako kraj bardziej rasistowski czy antysemityczny od wielu krajów, w których „mowa nienawiści” traktowana jest jako przestępstwo.

Krajem postrzeganym na świecie jeśli nie jako kraj totalnie antysemitowski, to taki, w którym antysemityzm stanowi poważny problem społeczny jest natomiast Polska – gdzie na wypowiedzi, które w USA w oczywisty sposób są chronione przez Pierwszą Poprawkę do Konstytucji są (i bywają stosowane) odpowiednie paragrafy. Rozpowszechniony w wielu krajach stereotyp „prawdziwego Polaka – antysemita” jest czymś, co warto i należy zwalczać. Ale czy podjęte przez Radosława Sikorskiego działania w postaci złożenia do prokuratury donosu na wydawców gazet, które jakoby tolerują antysemitowskie wpisy na swoich forach internetowych jest dobrym sposobem na walkę z tym stereotypem? O tym akurat nie jestem przekonany. Wydaje mi się bowiem, że akcja ministra Sikorskiego daje podwójny efekt. Z jednej strony, pokazuje że antysemityzm w Polsce się zwalcza (jeśli ktoś wierzy, że postawy antysemitowskie można skutecznie zwalczać poprzez działania o charakterze policyjno – prokuratorsko – sądowym to niech wierzy – ja w to nie wierzę). Z drugiej sugeruje co najmniej, że antysemityzm musi być u nas jakimś niezwykle poważnym problemem – skoro w walkę z nim angażuje się sam minister spraw zagranicznych – który ma przecież na głowie wiele rzeczy na zdrowy rozum równie, jeśli nie bardziej ważnych, jak zwalczanie stereotypu Polaka – antysemita.

Minister Sikorski nie powinien oczywiście pochodzić do postrzegania Polski jako kraju, w którym obecne są i wyrażane bywają postawy antysemitowskie w sposób obojętny. Sądzę jednak, że są lepsze sposoby na przeciwdziałanie stereotypowi Polski jako kraju antysemitowskiego, niż wytaczanie procesów antysemitom – a jeszcze bardziej tym, którzy jakoby (bo to też nie jest pewne – czy moderator dużego forum internetowego wie o wszystkim, co się na forum tym pisze?) tolerują antysemityzm. Sposobem tym może być np. przedstawianie konkretnych przykładów świadczących o pozytywnych stosunkach między Polakami, a Żydami i o sympatii Polaków wobec Żydów – mam tu na myśli choćby różnego rodzaju festiwale twórczości żydowskiej, bezpośrednie kontakty polskiej i żydowskiej młodzieży, dane z badań opinii publicznej świadczące o spadku postaw i przekonań antysemitowskich w ostatnich latach – pomysły z pewnością można byłoby mnożyć. Oczywiście jest też, że walka (mądra – bo o głupotę może być tu bardzo łatwo) ze stereotypem Polaka – antysemita nie może być zadaniem wyłącznie ministra spraw zagranicznych, ale że powinna być podejmowana przez cały szereg ludzi – polityków, publicystów, uczestników forów internetowych – wszystkich tych, którym zależy na tym, by Polska nie była na świecie postrzegana jako kraj antysemitowski. Choć bowiem działania takie, jak te podjęte przez ministra Sikorskiego mogą doprowadzić do tego, że ilość antysemitowskich teksów i komentarzy w polskim Internecie się zmniejszy, to najlepszym sposobem zarówno na poprawę wizerunku Polski w świecie, jak i na walkę z antysemityzmem jako takim jest publiczne, zdecydowane przeciwstawianie się postawom i stwierdzeniom o charakterze antysemitowskim. Innymi słowy, jak dawno już stwierdził sędzia Sądu Najwyższego USA Louis Brandeis „more speech – not enforced silence” – „więcej mowy - nie wymuszonego milczenia”\*. Owo „pomnożenie wypowiedzi” – jakkolwiek nie jest żadnym cudownym remedium ani na antysemityzm jako taki, ani na obecny w świecie stereotyp Polaka – antysemita – to mimo wszystko jest lepszym środkiem przeciwdziałania tym zjawiskom, niż metody, których zastosowania chciałby minister Sikorski. Po pierwsze bowiem, postawy autentycznego sprzeciwu wobec antysemityzmu (i innych form rasizmu bądź ksenofobii) prędzej biorą się z krytyki – ośmieszania, napiętnowania itp. - antysemitowskich

poglądów, niż z represji za wyrażanie takich poglądów – których najbardziej prawdopodobnym skutkiem może być wywołanie u antysemitów uczuć prześladowania i traktowania jako obywateli drugiej kategorii – które łatwo mogą przerodzić się w gniew, wściekłość i poczucie, że trzeba działać – niekoniecznie w sposób pokojowy (jeśli za antysemickie słowa można trafić do więzienia tak samo, jak za antysemickie czyny to dlaczego ograniczać się tylko do tych pierwszych?), po drugie, tylko ten sposób walki z antysemityzmem może pokazać światu, że Polacy *en masse* żadnymi antysemitami lub innymi rasistami nie są, a ci z nich, którzy jednak nimi są stanowią tolerowaną wprawdzie (jak to powinno być) ale mimo wszystko pogardzaną i społecznie zmarginalizowaną mniejszość.

\* Sędzia Brandeis użył tego sformułowania w dwóch napisanych przez siebie opiniach - obu niezgadających się ze stanowiskiem większości sądu: **bardzo znanej opinii tzw. zbieżnej** w sprawie **Whitney v. California** z 1927 r. i odkrytej dopiero kilka lat temu, a jeszcze ciekawszej opinii w sprawie **Ruthenberg v. Michigan** (opinia ta w swoim czasie nie ujrzała światła dziennego z tego powodu, że oskarżony w rzeczonyj sprawie zmarł przed ogłoszenie wyroku). Jakkolwiek sprawy w których sformułowane zostały wspomniane opinie dotyczyły się komunistów, a nie antysemitów czy rasistów, oczywiste jest, że użyte w tych opiniach argumenty mają charakter uniwersalny - a więc możliwy do zastosowania także w przypadku ekspresji np. antysemickiej.

[Strona główna](#)